

Krzysztof Niemczycki

KRÓLOWA  
W  
koronie z iguany

opowiadania

KRZYSZTOF NIEMCZYCKI

Królowa  
w koronie z iguany

1990-2011

© Copyright by Krzysztof Niemczycki 2011

Projekt okładki: Krzysztof Niemczycki

Redakcja: Tomasz Sobieraj

Wydanie I

Kopiowanie całości lub części w jakiegokolwiek formie bez pisemnej zgody autora zabronione.

## MIASTO

Unoszę się nad miastem. Jestem Żydem, Niemcem, Polakiem, kimś z nich trzech do wyboru. Unoszę się nad miastem bez rzeki, nad tym dziwnym miastem okaleczonym wododziałem. Gonią mnie inni ŻydoNiemcoPolacy a ja im uciekam, albo ja ich gonię, bo bez punktu odniesienia to cała pogoń-ucieczka traci sens, a my sami czujemy się zagubieni nie wiedząc w jakie role przyszło się nam wcielić.

Z góry wszystko wygląda inaczej. Nie widać nordyckich nosów i mongoloidalnych fałd. Są jedynie nocne ulice, nocne natrętne marzenia i tramwaje jadące w kierunku świtu pełne pijanych błąkających się po zakamarkach miasta i własnego losu.

Unoszę się nad miastem wsłuchując się w ciche nieświadome modlitwy śpiących ludzi, skamlące prośby, niewypowiedziane przeprosiny, zapewnienia pełne pewności, w tę całą nieśmiałość skrywaną przed dniem, w te nadzieje składane na wadze przyszłości. Anioł przy wadze ma oczy niebieskie.

– Nadia?

A potem obudzę się z tego beznadziejnego snu, który przyniósł ze sobą barwy i kształty wymarłych ulic, umierających ludzi, strzępów krwistych neonów, męczących marzeń i nocnych tramwajów pełnych pokraccznych losów i kobiet otumanionych przez mrok i wino...

Z tego snu, w którym tak przeraźliwie bronię się przed zbyt wczesnym przebudzeniem. ■

## KLOCKI DOMINA

**1** • Bełkotliwe uliczki, bękarty szerokich alei wysadzanych platanami, wrzące rozgrzanym powietrzem i kolejne przecinki w zabudowie. Ulica Faliasa, Portofino i Boliwara – wąskie rafy cieni, o które rozbija się przybój słońca. Wypełnione jazgotem audycji radiowych wydobywającym się z zimnych dziur okien i dalsze odnajdywanie szczegółów, które pozostawały niezauważone w wyeksploatowanych do końca krajobrazach.

Gorące powietrze nasycone wilgocią, plamy potu, na które nie ma sposobu i te fascynujące boczne ulice, z których domy wyrastają tak nagle, prosto z twardego, laterytowego podłoża, bez zbędnych chodników i krawężników, linii podziału i symetrii. Kolejny szczegół przerastający swoje obiektywne znaczenie – białe ściany domów stykające się z ziemistą czerwienią drogi, a wcześniej... powrotna podróż: stemple, pociągi, samoloty, horyzont nasycający się budynkami i na końcu tego łańcucha nagle pojawienie się dobrze znanych barw i dobrze znanych problemów – tarמושący się z wiatrem plakat z napisem Welcome to Maladeo.

Rozedrgane słońce i lepki pot. Pod puchami, na czole i między udami. Sprawdzalne dowody na ilość wody w ciele człowieka bezpowrotnie traconej podczas każdego kroku, taplania w ciepłokrwiistych solankach, we wnętrzu pustynnej lizawki zwabiającej wciąż nową zwierzynę. I dalsze zapadanie się w dobrze znane zakamarki ulicy Cermento i Parmintosa. Kalekie ruchy Browna

wśród demonstrujących studentów na Avenida de la Liberation i sennych robotników w Guardinie. Wystudiowane posunięcia na szachownicy światła i cieni krzyżujących się placów i ulic. Powolne wypełnianie planu miasta własnymi szczegółami: najlepsze wino w kawiarni „La Sol”, najlepsze filmy w Instytucie Amerykańskim lub British Council, najlepsze... „A jednak wróciłeś”.

I spotkanie z Maite w mieszkaniu Alesandro podniszczonym przez wspomnienia oraz dziwne przecucie zbiegania się wszystkich oczek sieci-wielopalczastych osi możliwości we wnętrzu małej zamkniętej całości, strzępie słów i nastrojów, w tym jednym punkcie, nieróżniącym się od innych niczym z wyjątkiem tego, że jest środkiem masy, bazy, układu... powodującym, że całe to pisanie i Alberto siedzący obok butelki wina, z którą znakomicie komponuje się są jedynie dopełnieniami bardziej lub mniej złożonych systemów...

A obok tego połączenie Maladeo z Europą cienką nitką ciekawości Maite i tymi słowami, które mają poruszyć jej wyobraźnię, odtrącić stany pośrednie pomiędzy dwoma fazami gzymsów, fasad, drewnianych framug, chodników lub ich braku, słów i znaczeń prowadzących do konkretyzujących się porównań i stwierdzeń, że Bulwar Króla jest podobny do Guardiny przesiąkniętej zapachem pieczonych ziemniaków i końca miasta. Do rozprzestrzenienia Guardiny. I wreszcie ulica Monteneiro. Niedorozwinięty płód Czerwonej Dzielnicy, z rachitycznymi rączkami przecznic i zacisznych podwórek ozywających nocą polucją baloników pożądania. Subtelny zapach perfum „Chanel III” i rzygowiny w ciemnych bramach. Obszar zmienności życia i efektów naszych pragnień. Zwiewne znaki, atomy, kuleczki, halucynogenne grzyby i dalsze szczegóły.

Przyjechał niedawno. Trzy dni temu znalazł tani hotelik, w którym życie miało coś z codziennego życia miasta, świeżych bułek

i galaretowatych dżemów – przynajmniej tak, tę codzienność wyobrażał sobie w kraju, a tutaj nie chciało się sprawdzać pozostając przy dawnych ustaleniach i pewnikach.

Recepcjonista przeglądając paszport przypatrywał się kolorowym stemplom przekroczonych granic z zadowoleniem wsłuchując się w kaskady jego słów, które wyrzucał z siebie, aby ukryć zażenowanie i nie czuć się jak kobieta starająca się zakryć swoją nagość przed nieproszonym obserwatorem.

Głuchy łomot przejeżdżających tramwajów przeciskających się w gęstym powietrzu w stronę placu Cremintos wybijał się na pierwszy plan z innych odgłosów dochodzących z zewnątrz. Tramwaj zatrzymał się – rekonstruował ten obraz z dochodzących dźwięków patrząc na niego z innej perspektywy. Perspektywy osaczających zapytań, niedowierzań, prób zrozumienia i wytłumaczenia tych ogólnościowych procesów, których owocem było tamto miasto i czasy spokoju, gdy na placu Rewolucji powiewały szturmówki, tłum pochodu falował poniżej a dzieci uśmiechały się do przechodzących przegryzając obwarzanki nawleczone na papierowe sznurki.

Tramwaj zatrzymał się. Łatwo można było odróżnić pojedyncze słowa wypowiedane przez wysiadające osoby.

Czasy spokoju ograniczone były od przodu i tyłu pojawieniem się czołgów na ulicach. Czołgi na ulicach pojawiały się nie częściej niż w innych miastach będących owocem ogólnościowych tendencji.

– Jesteś komunistą? – zapytał recepcjonista oddając paszport.  
Are you a Communist?

To nie tak.

British ariweys we'll take wore care of you; are you communist; Datsun road its right outside your house; Hitachi is the best...

2. Obudzi się i było to jak stworzenie świata. Na początku była jasność, jasność przebudzenia i przyzwyczajania wzroku do wyłaniających się z niej przedmiotów: książek i opartych o ściany obrazów Malika Makulisa przedstawiających katedrę Świętego Ducha i park z prostytutkami przechadzającymi się po jego alejkach. Obudził się na dobre. Czuł wyraźnie spocone ciało i dochodzące skądś zapachy mieszające się ze sobą w jedną już rozpoznawalną woń tego placu. Czekał kilka minut na coś, co miało w trakcie ich trwania nastąpić i powoli, ale dopiero w czasie ich upływania zdał sobie sprawę, że na coś oczekuje, poszukując w każdym szczególe, nowy szczególe, tego, co powinno się zdarzyć: odgłosu odbijanej piłki, zapachu przypalonego mleka lub zupełnie czegoś innego, co dawałoby pretekst do nerwowego niezadowolenia. Ale tego nie będzie. Nie po to tu przyjechał.

Otworzył okno. Tramwaj z placów Cremintos przejechał poniżej. W ustach czuł nadal smak kolacji, efekt oszczędnego życia człowieka, który nie przyzwyczał się jeszcze do wydawania tego typu banknotów.

Jeden frank równa się ...

Jeden frank to 0,1 paczki Marlboro.

Czuł nadal w ustach wczorajszą kolację –15,5 franka.

Nie różnił się od innych, których spotykał na dworcach, gdy wysiadali z pociągów przywożących ich z jakiegoś innego krańca świata, roześmianych ponad stan własnych dowcipów, zachwyconych nowym powietrzem, nowymi reklamami, nowym winem, „Doktorem Żywago” w kinach, spokojną rzeką, Millerem leżącym na wystawie księgami, metrem, koncertami, migającymi światłami i muzyką, muzyką-muzyką-muzyką – przyjechał Cyrk Radziecki. Dla których jedynym pewnikiem była informacja, że najtańsze hotele są na placu Campos; hotele z anglojęzycznymi reklamami i ciekawskimi recep-

cjonistami; hotele dla całej tej zbieraniny, „negros”: Peruwiańczyków, Chilijczyków, Arabów, Polaków, Kubańczyków, Rosjan.

Każdy dzień miał podobny scenariusz. Był dokładnie uporządkowany jakby w ten sposób chciał odpędzić duszne przypomnienie przejściowości tej sytuacji. Zawierało się w nim kilka godzin wałęsania się, analizy obrazów Velázquez, albo jakiegoś innego malarza w zależności od tego, do którego z muzeów wstęp był bezpłatny, tani obiad, tanie wino i na końcu jakieś przypadkowe spotkania kogoś, kto znał kogoś, a prowadzić to mogło jedynie do zakończenia dnia w mieszkaniu jakiegoś wspólnego znajomego. Ta jak choćby teraz.

– To nie tak – powtórzył

– Dlaczego? Dlaczego, gdy ktoś zapyta was o jakiś szczegół z waszego życia odpowiadacie „to nie tak”, „nie wiem” albo coś w tym stylu. Zamknęła okno i powróciła do zagubionych w płątaniu roślin ryb o wylupiastych oczach i pięknych nazwach.

– Kogo „was”? – zapytał

– Ciebie, Josego, w ogóle was wszystkich stamtąd – uśmiechnęła się poprawiając białe kosmyki włosów i ocierając kropelki potu z czoła. Mógłby być Gutierrezem albo Alesandro lub zupełnie kimś innym. Spotkali się dzięki wyczulonemu słuchowi na obco brzmiące słowa, inaczej obco brzmiące słowa w podobnej kawiarence, parku lub mieszkaniu, podobnym do innego mieszkania, parku lub kawiarni, choć mogło nie istnieć całe to prawo przechodniości podobieństw: jeżeli kawiarnia na placu Rewolucji jest podobna do kawiarni na placu Campos a ta do kawiarni przy Piątej Avenue, to..., a był to efekt zwyczajnej ciekawości, poznania smaku czun-czun podawanego u Bregesa, większej odwagi, o którą łatwiej, gdy zrobi się kilka pierwszych kroków, pozostawiając za sobą pociągi do Certamento i samoloty zmieniających się linii a wraz z nimi zmieniające się tak samo mile uśmiechnięte

stewardesy, czy chęci posłuchania muzyki w mieszkaniu Marcela i przy tej muzyce, wraz z Odą, wypatrywanie w głębi akwarium poruszających się w skłębionej zieleni aksolotli, które widzi się po raz pierwszy podobnie jak Odę.

– Jakby brakowało wam pewności, odwagi, własnego sądu. Alberto rozmawia z Karen. Przypomniał sobie rozmowę, w której pomocne były dłonie i całe bogactwo mimiki, tam, gdzie znajomość angielskiego przez Alberto i hiszpańskiego przez Karen nie pozwalała na sformułowanie w miarę poprawnego zdania.

Hablo - mówić. No hablo – nie. „I co ty na to?”

To nie tak. To są jedynie hasła, znaki, sygnały, barwy, herby, których własna heraldyka nie jest w stanie rozszerzyć pozostawiając je na poziomie lustrzanych odbić, a teraz z przodu, a teraz..., gdy chciałoby się ze wszystkich stron jednocześnie. Are you comunist, Datsun road its right outside your house; śmieszny kasownik z plastikową rączką i reklama przyczepiona do zewnętrznych ścian tramwaju jadącego w stronę placów Cremintos, czy to pomieszczenie będące daleko od innego pomieszczenia oddalonego o pociągi do Certamento oraz samoloty z drżącymi skrzydłami, które wydają się niezmiennie sztywne a w rzeczy samej, gdy przypatruje się im przez bulaj przy drugim silniku drżą, jakby i im udzielał się niepokój lecących osób.

Rozstali się niedaleko placu Campos. Zanim wszedł do hotelu przyglądał się jak odchodzi. Starał się znaleźć właściwy rytm pasujący do tego gęstego, lepkiego powietrza i spoglądających na nią spod wielkich parasoli kawiarnianych ogródków ludzi, ale widział w jej ruchach, że nie jest w stanie tak jak on powoli przelewać się z miejsca na miejsce, wkładając w każdy ruch jak najmniej wysiłku. Szła nieskładnie, sprężyście, przez co nieświadomie ściągała spojrzenia mężczyzn, które rozdrażniały ją, bo w

każdym doszukiwała się kolejnych dowodów swojej inności, tych przychylnie wybaczących uśmiechów pobłażania za to, że idzie środkiem bulwaru zmuszając do wzmożonej uwagi rowerzystów i tym podobne grzechy.

Zmierzchało.

Zamknął drzwi. Ocierając pot pod pachami zaczął szukać czystego kubka, którym mógłby napić się wody. Zmierzchało. Tutaj mówią „ściemnia się” albo po ostu „wieczór”. Tutaj nie piją tej lekko gorzkiej, zatechłej wody. Pił łapczywie długimi haustami wiedząc, że około czwartej w nocy skręcając się z bólu będzie przyrzekał sobie, że nie weźmie jej więcej do ust a czerwone tabletki, prezent od znajomych będących w tej części życia, która jest ciągłym doskonaleniem wiedzy o działaniu sulfamidów i oleju rycynowego okażą się nieprzydatne jak kilka innych rzeczy, które przywiózł ze sobą.

Pot zbierał się w małe banieczki, spływał drobnymi kanalikami zmarszczek zatrzymując się na czarnych brwiach a stamtąd spadał deformując się w powietrzu i rozpryskując się na pierwszym napotkanym przedmiocie.

Rozebrał się i położył w najciemniejszym kącie, który wydał mu się głębią cienia rzucanego przez jakąś rzecz stojącą na drodze słońcu.

Zmierzchało. Leżał nagi na szerokim łóżku przykrytym cienką narzutą zdradzającą gusty właścicieli i pełną przetrwałych zapachów ostatnich mieszkańców. Mężczyzna częściej leżał od strony okna, ona obok otulona jego cieniem. Zamknął oczy i przewrócił się na drugi bok.

Poczuł na udzie czyjaś dłoń, subtelny dotyk kobiecego ciała. Miała długie, smukłe nogi, krótko ostrzyżone jasne włosy i dziwnie smutny uśmiech. Palce spokojnie posuwały się dalej bawiąc się kępkami włosów pojawiającymi się coraz częściej. Miała

krótkie, jasne włosy. Siedziała na podłodze przypatrując mu się z dziwnym napięciem. Skręcone kosmyki delikatne jak u dziecka prostowały i znikały pod dłonią. Położyła głowę na jego brzuchu i wtedy poczuł napływający z daleka zapach lawendy.

Zapach lawendy mieszał się z zapachem jej ciała. Zapach lawendy pamiętał jeszcze z dzieciństwa.

Duże flakony stojące w łazience wyłożonej błękitnymi kafelkami czyszczoneymi co roku z okazji wielkich świąt.

Rozbierała się po woli. Wszystkie ruch wydawały się jakby zwolnione, można je było prześledzić w każdym szczególe. Podniesione ręce z dłońmi sunącymi po plecach wraz z odsłaniającą się nagością, osuwające się smukłe nogi, pomocna dłoń zatopiona w bliskości ciała, język wysuwający się z ust, słonawy smak morza i jej skóry i daleki zapach lawendy.

Pola lawendy są granatowymi płaszczyznami na pocztówce, na której utrwalono je nie wiedząc, że utrwalono i w jego pamięci taki a nie inny obraz na zawsze przypisując go polom lawendy. Miał jasne krótkie włosy.

Otworzył oczy. Szara ćma spokojnie wędrowała po spotniałej skórze przebierając wieloma delikatnymi odnóżami.

Leżał tak jeszcze przez kilka chwil przypatrując się włochatym nóżkom, po czym szybko ubrał się i wyszedł z hotelu.

Z placu Campos poszedł w kierunku centrum wpadając na kilka minut do małej kafejki z czerwono-białymi markizami, w której mógł napić się prawdziwej kolumbijskiej kawy, poczuć rozlewniawące ciepło i zapach Guardiny...

a później starannie odmierzając każdy krok i tracone minuty, które powinien poświęcić na zwiedzanie muzeum czy badanie obrazów impresjonistów szedł gdziekolwiek, wspinał, jechał ocierając się o ludzi wychodzących z kina albo o pustkę zagubio-

nych i omijanych przez turystów uliczek, aż gdzieś na placu, którego nazwy już nie pamięta ponownie spotkał Ode.

Razem poszli do „Combo” przelotnie rozmawiając o Maladeo, Upsali albo o filmie rosyjskim i łatwości pisania u Fitzgeralda lub zupełnie o czymś innym bawiąc się słowami, tworząc palindromy z liter i znaczeń, ale były to działania maskujące. Chodziło im, a zwłaszcza jemu, o poddanie się czerwonym ścianom „Combo”, ciepłemu światłu, nocnym motylom i ich cichym uderzeniom w siatki wstawione w otwarte okna oraz samotnej trąbce wyłaniającej się spokojnie z ciszy i znowu ciszy z głuchymi uderzeniami wytrwałych ciem.

Siedział wsłuchując się we frazy bossa nowy wyjętej z lamusa przemijających mód, przypominanej po woli, wyciąganej z pamięci z pewnym oporem zapomnianych już przejść i nawrotów muzyki, szumu gitary, subtelnego śpiewu i leniwego rytmu zlewającego się z intymnymi rozmowami, zapadającego się w noc, atmosferę coraz bardziej podniecającą i niezdrową dla sercowców, plany dalekich podróży i całkiem bliskie ciepło rozgrzanego ciała Ody.

Wiedział jedynie, że właśnie w tej chwili, na początku czy może już we wnętrzu tej sekwencji nieśmiałości i osamotnienia nowego kraju trwającej od momentu przyjazdu musi poczuć to wzbierające ciepło, wyjść z dusznego kokom placu Campos i kilku otaczających go ulic i nawet nie zauważył, kiedy zaczął tańczyć. Kiedy pojawiły się obrazy nóg powtarzających lub wyprzedzających dobrze znane frazy, otaczających ludzi z ich uśmiechem zadowolenia, drugich i trzecich planów, przenikających krajobrazów, niepotrzebnych porównań, Piątej Avenue, hotelu, Maladeo Maladeomaladeomaladeo...

Silniej przycisną do siebie Maite, „mam na imię Oda”, ODA!, chcąc złączyć się z tym ciałem ociekającym potem, tak bliskim a jednocześnie dalekim. Dalekim od niego, dalekim od smutnego

uśmiechu ciotki Klary i powracającej wciąż myśli o nieuchronnym powrocie.

Silnie przycisną do siebie Maite, ale w pewnym momencie odwrócił się od niej. Odwrócił się zbyt spokojnie widząc przestraszone oczy, kocie ruch napiętego ciała, zmoczone kosmyki włosów i wiedział już, że jest to pierwszy krok ucieczki. Jej ucieczki? Kolorowa sukienka krępuje ją, nie pozwala – to on ucieka. Wpada w szerokie ulice z czasem osaczające go z trzech stron ścianami domów. Odwraca się czując rozgrzane dziennym ciepłem cegły i rozpoczyna wszystko od początku: urodziny i kilka lat dzieciństwa, z których nie pozostały prawie żadne wspomnienia, szary, zbyt duży dom, komunę i białe ubranie tracące z czasem ozdobne dodatki i status wyjściowego, rozwiewając się młodość, podniecenie nagością, pisk hamulców, drobną bliznę na udzie, pociągi jadące za granicę kraju i codzienności, ponagląjące spojrzenia, czerwone ściany, trąbkę...

i ten drobne chwile zapomnienia przysługujące nowym miastom i ludziom, gdy są w nich po raz pierwszy. I to, że mógłby być Gutierrezem albo Alesandro lub kimś zupełnie innym, ale...

ale był Markusem, miał na imię Markus, Mar-kus. Istotny szczegół. Markus, Usa, Samuel, El Paso, Soho, Sobat, Adarama i znowu Markus lub tak:

Markus

Usa

Samuel

El Paso

Soho

Hobad

Adarama

i znowu Markus.

Klocki domina. Mydło do mydła, piątka do piątki, chciana lub niechciana ciągłość. Miał na imię Markus.

**3** • A może trzeba opowiedzieć inaczej? Fascynować egzoty-  
ką, nazwami barów, ulic, mostów, adresami odwiedzanych  
mieszkań, sygnałami, znakami, odbiciami, próbą stworzenia po-  
kraczných kopii tamtych miejsc i samego siebie, których pokracz-  
ność widzi się tylko samemu, bo...

nie miało się szerokokątnego obiektywu Zeissa, właśnie w tym  
jednym momencie, na skrzyżowaniu ulic wysadzanych platanami  
i z tej jednej ważnej chwili pierwszych tygodni tułania się po no-  
wym mieście, przenoszenia się z miejsca na miejsce i ciągłych  
powrotów na plac Campos, z tą samą pustą walizką i tak samo  
pustym portfelem, pozostały jedynie nazwy krzyżujących się ulic,  
barwne plamy i nic poza

bo pozostały słowa będące jedynie nazwami a nie samymi zda-  
rzeniami

bo...

A może? ■

## KRÓLOWA W KORONIE Z IGUANY

**DZIEŃ** Żyjemy w hotelu na godziny. Ja i Maite. Maite i ja. Ja i „Ja” – w zapisie karcianym Maite podpisuje się „Ja”. Siedzi oparta o ścianę wpatrując się w leżące przed nią karty, z których stara się odgadnąć naszą przyszłość. Starannie układa klocki znaczeń tworząc mnogość kombinacji, zestawień i zależności, w tej grze, w której przeszłość utrzymana jest w kolorze czerwieni, przyszłość zaś w zieleni, a między nimi znajdują się bezbarwne obrazy terażniejszości: życia ponad stan w chwilach niekłamanej szczęścia, sączącego się wina, rytualnych gestów – fatamorgany tworzone na przekór rzeczywistości.

Żyjemy w hotelu na godziny – powtarza podczas siódmego rozłożenia. Ten układ słów wynika z tych trzech kart, które są już tak wytarte, iż tworzą poukładany z kawałków zielony prostokąt, w którym tylko ona może jeszcze coś zauważyć.

Żyjemy w hotelu na godziny, na które składa się sześćdziesiąt minut, pięć dni albo jedna noc – mówi cicho i wydaje się, że otwiera usta, nie po to, aby opowiadać o hotelu, dniach, upływającym czasie, lecz by zaśpiewać właśnie ten fragment „The Empty Bad Blues”: „I need you. Please stay near me”.

Fale głosowe przebijają się przez gęste, lepkie powietrze. Kulczka uderza w kuleczkę, albo na niższym poziomie atom o atom, sylaba o sylabę – niczym w doświadczeniu szkolnym.

Kalekie atomy, kalekie sylaby, nocne plany z entuzjazmem do nich roztopiającym się w południowym słońcu i na dodatek „Please, stay near me” i to szerokie łóżko kupione w sklepie ze starzyzną przy Avenida de la Liberation. Łóżko, w którym kładąc się po raz pierwszy czuliśmy się dziwnie zagubieni i spłoszeni tak wielkim obszarem wolności, do którego należało przywyknąć.

Ten sam intymny ścisk, to samo oczekiwanie i takie same kulaczki zderzające się ze sobą: I-need-you-please-stay-near-me.

Żyjemy w hotelu na godziny, na które składa się sześćdziesiąt minut, pięć dni albo jedna noc. W hotelu, w którym chronimy się przed bezradnością w stosunku do siebie.

Jak choćby teraz wśród kropelek snu, kropelek mroku i wciąż mniejszych miast nanizanych na nitki coraz gorszych dróg – La Paz, Quito, Leoncion, Maladeo. We wnętrzu nowej chwilowej stabilizacji. Spokojnej frazy zmieszanej z powolnymi przyspieszeniami pełnymi niepokoju. Wśród sennych dni i bezsennych nocy, prób wydobycia się poza siebie, uwolnienia od ograniczeń dźwięków, barw i zdarzeń poukładanych w określone wzory, kody genetyczne przyzwyczajęń i upodobań lub upodobań i przyzwyczajęń, bo trudno jest rozstrzygnąć, co jest pierwsze. Uwikłani w oniryzm.

A między tym wszystkim spokojne nawroty muzyki albo nagle, drapieżne „Every man wants a woman” – krótkie rwane dźwięki, rozchylone wilgotne usta, lepki ustnik trąbki, six, sax, sex i nowe powtórzenia. „Every man wants a woman and every woman wants a man”. Duszne noce i nagie ciała, kropelki potu i takie samo lub zupełnie inne szerokie łóżko. Spokojne synkopy, onieśmienie, nieśmiałe dotykane, poszukiwanie zapomnianego ciepła i nagły wybuch zwierzęcego pragnienia. Zwolnione z uwięzi baloniki pożądania. Eksplozja panspermii tego mikrokosmosu.

A potem

powrót poza granicę osamotnienia. Słuchanie starych płyt Pink Floydów lub Theloniousa Monka i wylapywanie nocnych głosów miasta, poddawanie się kodom i wzorom, bez walki spokojnie – sex, sax, six – wraz z wielką samotnością tej chwili wynikającą z prostej względności przestrzeni i czasu. Wśród spokojnych nawrotów muzyki.

La Paz, Quito, Leontion, Maladeo, ciepłe światła zachodu, tramwaje przeciskające się w stronę placu Rewolucji, placu Campos lub Piątej Avenue.

Parno. Lepki, duszny mrok.

**1** Kiedy przyплыwał do Maladeo dom wydał mu się mały, w porównaniu z tymi, które znał z San Jose, czy choćby z Leoncion. Jednak poza tym jednym szczegółem wszystko inne było takie same. Ten sam intymny ścisk ocierających się o siebie ciał, te same niezrozumiałe dźwięki i ten duszny, lepki mrok, w którym wyczuwało się niepokój kogutów oczekujących na swoją kolej.

Walki rozpoczynały się tuż po zachodzie słońca, lecz tak na prawdę ważnym momentem był ten, po którym ptaki stały już naprzeciw siebie z nisko opuszczonymi głowami i piórami nastroszonymi wokół szyi. Dopiero wtedy, zdecydowane na wszystko zaczynały na dobre. Znajdowały się na cienkiej nitce terażniejszości, na której zawieszono ten jeszcze bezbarwny obraz wypełniając go kolorami i skomplikowanymi wzorami, z których tylko jeden miał jakiegokolwiek znaczenie. Atakowały nagle i równie nagle odskakiwał od siebie powtarzając ten manewr za każdym razem z tą samą gwałtownością.

Wszystkie walki były podobne do siebie. Rozpoczynały się rytuałem wyzwalania agresji a kończyły prawie niewidocznym uderzeniem. Przegrywający nawet go nie dostrzegał. Kiedy upadał po raz ostatni, strużka krwi wsiąkająca w piasek tworzyła nową linię, którą bał się przekroczyć zwycięzca. Cienką linię odgradzającą wygraną od przegranej, optymizm od pesymizmu, świat kobiet od świata mężczyzn.

Już po pierwszej walce, jeszcze w San Jose, wiedział, że walki kogutów należą do zamkniętego, rządzącego się własnymi prawami świata mężczyzn. Są bardziej męskie aniżeli walki byków. W tej ocenie chodziło nie o to, że nie wpuszczano na nie kobiet, lecz o tę wszechhistniejącą przegraną. O to, że matadorowi wchodzącemu na arenę dawano szansę, może tylko dlatego, że był człowiekiem, kogutowi zaś od początku przypisywano przegraną. Tak było w San Jose, Leoncion i tutaj, w Maladeo.

Kiedy wspomniano koguty mówiono jedynie o tych, które przegrały. Te, które wygrały oceniano z punktu widzenia przegranej, w którejś z kolejnych walk. Od początku przegrana była im przypisana, bo poza nią nie było niczego. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że kogut stojący na arenie nie ma przed sobą przyszłości, a każde jego zwycięstwo jest odwlekaniem tego, co i tak zostało już przesądzone. Wierzono, że ptaki nie giną, dopełniają jedynie swojego losu – przeznaczenia, przed którym nie ma ucieczki. Wierzono, że świat jest żeński, zarodkowojajowaty, a jedynym jego przeciwieństwem jest kogut – *Gallus gallus spadiceus*.

Jeżeli prawdą było, że świat jest żeński, to tylko ptak mający w sobie coś z kobiety miał szansę na wygraną. Jeżeli istniał jakiś inny sposób na zwycięstwo, nie znał go. Wszystko do tej pory opierało się na tej dziwnej pewności, założeniu, które nie zawodziło.

Podobnie było z bokserami. Dziwiły go dłonie Romera, zbyt delikatne i subtelne, nie pasujące do zwałistej sylwetki boksera wagi półciężkiej. Romero wygrał jednak 75 walk. Walczył powoli, oszczędnie jakby zmagazynowana w nim energia miała wystarczyć na następne 75, z których żadnej nie może przegrać.

Do Maladeo przyплыł 12 stycznia, na trzy dnia przed rozpoczęciem karnawału.

**2.** Walki były przyczyną, którą można zastąpić każdą inną. Stanowiły raczej usprawiedliwienie bądź wytłumaczenie stworzone po fakcie aniżeli rzeczywisty powód. O tym, że przyjechał właśnie tu zdecydowała czerwona ciężarówka, która zatrzymała się za Atension i do której postanowił wsiąść, choć przez swoją barwę należała już do przeszłości. Do przeszłości należał także pierwszy ptak, na którego postawił. Wszystko prędzej czy później było przez nią przygarniane i dlatego wybrał właśnie tego czerwonego Dodge'a, rocznik 1978.

Z ciężarówki przesiadł się na prom przez Iguaranę. W San Luce kupił koguta i na pokładzie długo mu się przyglądał, lecz nie mógł przypomnieć sobie tego jednego szczegółu, który zdecydował, że wybrał właśnie tego. Może chodziło o żółte plamy za oczami nadające mu jakiegoś demonicznego wyrazu albo coś zupełnie innego, jak choćby wtedy w Cristobal, kiedy zdecydował się na najmniejszego i dziwnie przestraszonego.

Wszystko było tak jak być powinno. Podobnie jak w filmie, który obejrzał w przeddzień wyjazdu w małym dusznym kinie ze zrywającą się taśmą i przeżywanymi po kilkakroć scenami pożegnań i powrotów. Hotel z niezbyt skrupulatnie sprawdzanymi kartami meldunkowymi, uwiarygodnianymi przez kilka banknotów

opłacających pokój na kilka dni z góry, ciężarówka przewożąca coca-colę na trasie Jacurbina - Manteneiri, bocznołowy prom przez Iguaranę i gdzieś w środku tej wyliczanki dorodny ptak, dla którego nie wymyślił jeszcze imienia.

Gdy pracował w ogrodzie zoologicznym wszystkim zwierzętom narodzonym w jednym roku nadawano imiona na taką samą literę. L – 1983, R – 1958. Praca ta była czymś przelotnym, pozostało po niej jednak przyzwyczajenie z nazwami, nieco zmodyfikowane, przystosowane do sytuacji. Imiona rozpoczynały się od pierwszych liter nazwy miasta. Zgodnie z tą regułą parkinson powinien nazywać się na „M” – Mesjusz, Mich, Marco. Na żadne z nich nie mógł się zdecydować, bo wydawało mu się, że nie pasują do tego silnego koguta.

Wcześniej, gdy nie interesował się walkami nie potrafił odróżnić gatunków, jedynie chińskie kurki nie sprawiały mu kłopotu. Wtedy zadowoliliby go „Maria” – coś pośredniego między imieniem żeńskim a męskim. Teraz jednak nazywał go Parkinsonem.

Kogut leżał spokojnie w wiklinowej klatce i przyglądał się ziarenkom pszenicy pozostałym po poprzednikach. Niekiedy dziobał je śmiesznie wykrzywiając łeb, gdy któregoś nie mógł dosięgnąć. Stanowił dobry materiał wyjściowy. Należało go tylko nauczyć zادیorności, zapalczywości i nieustępliwości, reszta zależała od szczęścia, znajdował się poza nim, w sferze zupełnie innych sił, na które nie miał wpływu.

Robiło się coraz ciszej. Z okna pokoju widział Iguaranę. Prom zbliżał się do przystani. Nadbrzeżne ptaki uspokajały się i słychać było jedynie cichy szum wody ocierającej się o burty statku. Od czasu do czasu od strony portu napływał duszny zapach butwiejących roślin. Zmierzchało. Iguarana zaczynała płonąć. Prom wpły-

wał w te wyspy ognia, zanurzał się w nie a po chwili pozostawiał za sobą rozcięte białą linią kilwateru. Był prawie pusty. Jedyne na górnym pokładzie stała młoda kobieta. Miała takie same, jak Maite, kruczoczarne włosy i tak samo zadziwiająco smutnie uśmiechnęła się do niego, kiedy zobaczyła go w oknie. Była ubrana w cienką bawełnianą sukienkę, przez którą prześwitywało słońce i dla tego wydawała się naga. Podnosiła się z ławki falując w rozgrzanym powietrzu, rozpadając się na fragmenty, by po chwili powrócić do swego kształtu kilka centymetrów wyżej, opuszczając żagiel sukienki na uda.

Spokojnie pijąc wino obserwował ten rozpad-wznoszenie zdeformowany kulistością kielicha. Przypominała mu dziewczynę z placu Campos w Leoncion, opartą o rozgrzany mur, od którego starały się odpędzić ją podstarzałe kobiety, które, jeżeli im się to udało, przytulały się do kamieni wciągając w siebie całe magazynowane w nich ciepło. Przypominała Maite. Ćmy uderzały wytrwale w siatki wstawione w okna, na ulicach pojawiły się psy, kogut leżał spokojnie zmęczony wydłubywaniem ziarenek pszenicy.

Zamknął okno, przykrył klatkę lnianym workiem i wyszedł z hotelu. Miał trochę czasu. Walki zaczynały się dopiero za kilkanaście minut. Pod tym względem wszystkie domy były podobne do siebie. Od dnia, w którym zginął pierwszy kogut wszystkie rządziły się tymi samymi prawami.

Nie liczył na wielkie wygrane - takie zdarzały się w San Jose albo w innym dużym mieście, gdy fala podniecenia ogarniała wystarczająco dużo ludzi przekonanych o zwycięstwie swojego wybrańca. Nie zależało to od wielkości miasta, lecz od koguta, ale te najlepsze pojawiały się tam, gdzie można było najwięcej zyskać. Zamykało się samonapędzające koło, loteria bez pustych losów.

**DZIEŃ** Odwracasz się i cicho mówisz: „powiedz mi coś miłego”, a mnie do głowy przychodzi tylko ten fragment „Raju” Lezama Limy: „masz wrodzony talent i kiedy widzisz, że twoje siostry podglądają cię zza zasłony zapalasz papierosa w hołdzie jakimś bożkom”.

Twoje siostry – Meche, Aleida i Ty siedzicie naprzeciw siebie w trzech rogach pokoju wyłożonego ciepłym, miękkim mrokiem i bawicie się ulatującym z uchylonych ust dymem. Pozwalacie wypalać się słowom. Dopalacie je do końca, powoli odpalając jedno od drugiego, starając się coś sobie nawzajem wytłumaczyć, na przykład różnicę w zapachach perfum. Dziś jest piątek. Różnicę pomiędzy Chanel a Blase, ignorując mężczyźni pojawiających się na chwilę jako wspomnienia, argumenty, przyszłość, tak samo nierzeczywistych, pozbawionych ciała, włosów, dłoni, ust, słów („powiedz mi coś miłego”) jak butelka coca-coli, pierwszy papieros wypalony przez Meche w wieku siedemnastu lat czy huragan w maju 1967 roku.

Jestem zupełnie zignorowany – czwarty kąt pokoju.

**3**. W tej układance brakowało mu jeszcze jednego elementu. Ostatniego ogniwa w łańcuchu napędzającym tę maszynę – kogutów, które przegrały. Wraz z ostatnią walką wszystko kończyło się. Z wielkiego balona jakim był dom ulatywało powietrze a w raz z nim nocne podniecenie nie pozostawiając po sobie żadnego śladu.

Nigdy wcześniej nie zastanawiał się, co dzieje się z ptakami, które przegrały. Co prawda w Leoncion widział Bosego sprzedającego kapłony, lecz nie skojarzył ich z walkami. Dopiero tutaj zauważył, że te, które nie zostały zabrane przez właścicieli wy-

rzucano nocą na plac za domem, gdzie padały łupem wygłodniałych psów. W ciągu dnia zaduch placu wypełniał cały Dom i nie było przed nim ucieczki. Plac był niewielki. Nocą stawał się jeszcze mniejszy, jakby kurczył się a okalające ulice zbliżały do siebie, wysysały go albo też on wysysał je, tak że stojąc na środku wydawało się, że całkowicie nikną a jednocześnie, że nie ma nic innego: ulic Carmintos, Palivarda, Kordanga, całego Maladeo, jest jedynie czarna powierzchnia i psy wyczekujące na ciche skrzypnięcie drzwi. Psy, które traktowano jak zło konieczne, coś z czym nie da się walczyć, tak jak z mrówkami i muchami rządzącymi tym miejscem w ciągu dnia.

Na plac przyszedł, gdy było już ciemno. Psy ocierały się o jego nogi walcząc między sobą o lepsze kąski. Choć wzrok przyzwyczaił mu się do mroku, nie widział ich. Słyszał jedynie chrzęst przegryzanych kości i groźne warknięcia. Wydawało mu się, że przybywają wciąż nowe, że nie ma już skrawka ziemi. Jest jedynie dywan z ich sierści, kości, ścięgien, mięśni, w którym jakąś warstwą, grunt pod właściwy wzór tworzą koguty, którym się nie udało. Plac rósł, pęczniał, zaczynał żyć własnym życiem, niezależnym od okrzyków dochodzących z domu, mogących być jękiem zawodu lub radości, przegranej bądź rozkoszy. Zatapiał się w mrok, traciłienne szczegóły, rządził się własnymi prawami.

Kogutów nie wyrzucano wiele - dwa, trzy w ciągu nocy. Psy jednak przychodziły całymi stadami. Ściągały z przedmieści suki w okresie rui ze zniecierpliwionymi psami nieodstępującymi ich na krok. Inne psy i inne suki, cała menażeria.

Nie musiał tu przychodzić, aby przekonać się o tym.

Pomiędzy psami i kogutami istniała silna zażyłość, zażyłość na odległość, zażyłość strachu, twierdzenia połączone znakiem „wynika że”, w których koguty, psy i plac tworzyły logiczną całość.

Jak niewierny Tomasz wkładał rękę w ranę, dotykał ciepłych, parujących w nocnym chłodzie ciał. Nie musiał pilnować tylnych drzwi, przynosić z sobą grubego kija i bić nim te, które znalazły się dostatecznie blisko. Nie musiał, bo było to tak samo bezsensowne jak wygładzanie zmarszczek na starzejącej się twarzy. Psy i tak nie reagowały na jego uderzenia. Odskakiwały z ostrzegawczym warknięciem, lecz na ich miejsce przychodziły nowe, zamykała się dziura powstała na chwilę i znów nie było ulic Carmintos, Palivarda, Kordanga tylko ten podrygujący, ciepły dywan o zmieniających się wzorach.

Kiedy zaczęło świtać same odeszły wyczuwając, że ich czas się kończy. Pozostało jedynie kilka wynędzniałych, które dopiero teraz mogły zdobyć coś dla siebie. Plac przypominał wysypisko śmieci w najnędzniejszej dzielnicy. Psy były wychudłe, poranione i nieufne. Omijały się z daleka a ich długi cienie wyłaniały się z ostatnich zakamarków mroku, mieszały się ze światłem i po chwili powracały do niego znajdując w mroku bezpieczne schronienie.

**DZIEŃ** Tę historię znam dopiero od momentu, po którym rozebrałaś się i umyłaś a mokre ciało i mokre włosy powiedziały ci, że nie jesteś już dziewczynką.

Zamknęłaś drzwi na klucz. Pierwszy raz przyszło ci to do głowy i od razu to zrobiłaś.

Woda miała słonawy smak i zapach rozfalowanego morza: zielonej trawy, krabów chowających się w piasku, drobnych rybek uciekających przed każdym zbliżającym się do nich cieniem i ostryg lekko skropionych cytryną, które jadłaś w barze niedaleko portu.

Bar „La Salsa”, szklaneczka białego wina i perłowe miseczki otwierane specjalnym nożem.

Bar „La Salsa” i małe ośmiorniczki jeszcze nie do końca pogodzone z swoim losem.

Woda miała słonawy smak, taki sam jak skóra, której dotykały delikatne palce słońca, a ty nie czułaś przed nimi wstydu i nie byłaś już małą dziewczynką.

**4** • Wrócił do pokoju. We wnętrzu było dziwnie cicho. Całe miasto zasypiało na kilka godzin w poobiedniej sjeście, lecz w tej ciszy było coś niepokojącego. Słońce przeświecało przez nieszczelne żaluzje tworząc prążkowany wzór na wytartym bezbarwnym dywanie. Szybko podszedł do drzwi łazienki. Na chwilę zatrzymał się przed nimi nasłuchując czy może oczekując na jakiś dobrze znany odgłos. Kiedy je otworzył do łazienki wtargnęło słońce odbijając się na kremowych płytkach. Kafelki zachlapane były małymi, już zakrzepłymi kroplami krwi. Kogut leżał na środku, pomiędzy porozrzuconymi stertami karmy i jakimiś innymi przedmiotami, które w dziwny sposób dotarły aż tu. Zmęczony, ciężko dyszał. Nie potrzebował długo zastanawiać się, by dojść do wniosku, że kogut zaatakował sam siebie. Początkowo walczył ze swoim cieniem, a gdy nie mógł dostatecznie zbliżyć się do niego, zadowolił się ogonem. Musiał walczyć dość długo, bo opadł z sił i teraz leżał prawie całkowicie wycieńczony wśród rozsypanej pszenicy i jakiegoś proszku śmierdzącego piżmem. Niewielkie pióra nadal przyklejone miał wokół dzioba. Cień atakował ostrogami. Świadczyły o tym podziurawione papierowe pudełka stojące na podłodze. Do ogona użył dzioba. Kręcił się wokół wyrywając pióra, aż upadł całkowicie wyczerpany.

Widział to już kilka razy. Koguty szkolone zbyt długo i trzymane w odosobnieniu prędzej czy później obracały się przeciw sobie. Atakowały zapalczywie nic sobie nie robiąc z zadawanego bólu. Niektóre były tak zdesperowane, że ta walka okazywała się ich ostatnią.

Wsadził koguta do wiklinowej klatki i przykrył ją lnianym workiem. Od dłuższego czasu, krok po kroku, uczył go różnych sztuczek i wiedział, że jest dostatecznie silny, by to przetrzymać.

Teraz musiał postarać się o drugiego ptaka. Nieważne jakiego. Potrzebował, aby ten drugi znajdował się wszędzie tam gdzie Parkinson, robił to samo co on, irytował go zmuszając do ciągłej uwagi. Drugiego koguta żyjącego własnym życiem, do którego pierwszy nie mógł się zbliżyć, oddzielony przezroczystą szybą rozgradzającą te dwa światy. Niezniszczalną cezurą wzmagającą apetyt, pobudzającą jakieś reakcje biochemiczne, krążenie krwi, uśpione hormony i ciągle niezadowolnienie, które rozładować mogła jedynie walka.

W jednej z książek przeczytał opis doświadczenia Karola Merlinga. Książkę kupiła Maite zaintrygowana tytułem. „Miłość i nienawiść” Irenausa Eib-Eibesfeldta leżała podczas każdej przeprowadzki na wierzchu walizki lub worka, w które pakowała najważniejsze rzeczy. Na wierzchu tratwy ratunkowej, z której po kilku minutach poszukiwań potrafiła wyciągnąć porcelanowy kubek, by w nim zaparzyć kawę dla przyjaciela zjawiającego się, by „zobaczyć nowe śmieci”, nowe mieszkanie, w którym nie zapuściło się jeszcze korzeni i nie odnalazło ulubionych miejsc. Funkcjonujące, lecz na razie na pół gwizdka, zawałone kartonami pełnymi rzeczy, dla których przeprowadzka się jeszcze nie zakończyła. Wyjmowała porcelanowy kubek i obok niego kładła książkę Ebestrasa powoli przekształcającą się w notatnik z telefonami

znajomych, towarzyską biblię, w której rozdziały wczytywała się z takim samym zapalem jak w opisy doświadczeń.

Mariku opisywał koguty bojowe. Służyły mu one do udowodnienia jakiejś tezy.

**DZIEŃ** Czas przecieka nam przez palce delikatnie łaskocząc przemijającymi dniami. Nurt rozdziela się tworząc wiry, zakola, płycizny: maj 1983, czerwiec 1995, zima 1993, nowy dom Alberto, smukłe ciało Maite – łachy piasku, odsypy, hieroglify, w których paleogeografowie odnajdują szczątki nieistniejących już krajobrazów. Pamięć. Wspomnienia.

Czas przecieka nam przez palce. Maite bawi się nim. Buduje nietrwałe tamy, na każdym zdjęciu, które wpadnie jej w ręce kaligrafując nazwy miast i daty, lecz delikatne łaskotanie nie ustaje. Uśmiecha się wtedy zrezygnowana, pogodzona z przegraną powtarzając: „żyjemy w hotelu na godziny” i bezradnie wpatrując się w płynące Iguaraną wianki rzucone w noc św. Jana, łączące się gdzieś z innymi wiankami...

W takie dni, jak ten, karty pozostawia w spokoju. Zieleń miesza się z czerwienią a ona...

**5.** To, że przyjechał właśnie tutaj nie było przypadkiem. Królowa w koronie z iguany od momentu, gdy zobaczył ją po raz pierwszy na fotografii Gracielii Iturbide, szła obok niego. Czuł jej ciepło, tak jak czuł ciepło ciała Maite nawet wtedy, gdy była daleko. Szła obok niego wraz z innymi kobietami z fotografii Iturbide – kobietami spokojnie skubiącymi koguty, opowiadającymi sobie najprzeróżniejsze historie w takt kołyszących się

łbów i metodycznie wrywanych piór; wraz z obrazami, normalnego miasta, pod skórą, którego żyły nadal obrzędy Indian Zapotec, żyły nie wiadomo czy dzięki potędze tej wiary, bezwładowi przyzwyczajęń czy też dla zwabienia turystów, którzy wpadając w tę, pułapkę zostawiali w niej kilka dolarów w kiosku Sancheza handlującego pamiątkami, albo w supermarkecie oferującym zimną coca-cole i małe buteleczki tequili.

Szły obok niego obrazy Maladeo, niedużego miasta przypominającego plaster miodu rzucony na niewielką wypukłość, spływającego ze wzgórza dzięki sile ciężkości, ciekawości ludzi i niższym cenom działek w dolinie. Miasta, o którym w pierwszej encyklopedii nie znalazł żadnej informacji i może nigdy by się o nim nie dowiedział, gdyby nie wystawa w San Francisco Museum of Modern Arts i katalog, który jakimś dziwnym trafem, dzięki prawu przechodniości, dotarł do niego i z którego spozjrzała na niego królowa w koronie z iguany. Królowa Maladeo, o którym w przewodniku Bargeses przeczytać można, że to małe miasto zatopione w starych wierzeniach, rządzone przez kobiety, co Iturbide podsumowała jednym tylko zdaniem „robią to, na co mają ochotę”; kobiety o okrągłych indiańskich twarzach skubiące koguty bez żadnej zawiści, znęcania się czy brania odwetu.

Do Maladeo pędzej czy później i tak by przyjechał. Pewnego dnia usłyszał tę nazwę i od tamtej pory świszczalo mu w uszach i nic nie pomagało przełykanie śliny dla wyrównania ciśnienia. Maite, Maladeo, musiał, matriarchat, miłość – M odbijające się w stojących naprzeciw siebie lustrach, powielane w nieskończoność, przenikające się bez wyraźnych granic tak, że nie wie się, czy oznacza ono Maite czy może Maladeo, na pierwszy rzut oka normalne miasto położone w pół drogi między górami i oceanem, w kotlinie spływającej wraz z Iguaraną w kierunku morza. M jak

morze albo Maite lub musiał. Koguta nazwał Mefisto. Delikatnie wyjął go z klatki. Trzymając skrzydła ramieniem zaczął nakładać mu stalowe ostrogi.

Ptak był dziwnie spokojny, bez sprzeciwu znosząc wszelkie zabiegi, jakby długi trening przygotował go do każdej sytuacji i nic już nie mogło go zdziwić. Ostrogi nie pasowały do tego wielkiego parkinsona, ale na lepsze nie wystarczyło pieniędzy. Gdy uporał się z nimi wyjął duży czysty lniany worek i wsadził go do środka. Kogut był gotów.

Gdzieś we wnętrzu tej łamigłówki, puzzli, które wydają się łatwe, gdy jeszcze nie zabrało się do nich, znajdował się dom z niezamkniętymi drzwiami. Opustoszały, bez śladów mroku, balon, z którego uciekło powietrze, z wielką dziurą areny wysypanej czystym piskiem, zagrabionej i przygotowanej do nowych walk.

Ostatnie pieniądze jakie pozostały po kupieniu ostróg dał stróżowi, by wpuścił go do środka i zostawił samego. We wnętrzu, zanim wyjął koguta z worka, narysował cienką linię dzielącą arenę na dwie części. Pozostał na jednej drugą oddając Mefistofelesowi. Rzucił go w powietrze, tak, aby upadł właśnie tam, poza cienką nitką, którą w dziecięcych grach w poprzek ścieżki rysowała Juanita. Kogut zanim tam się znalazł zatrzymał się w powietrzu, jakby ktoś włączył olbrzymią stop-klatkę, a później zaczął powoli opadać, co przypomniało mu dziewczynę, którą widział na placu Campos w Leoncion. Co przypomniało mu, że walki były uświadomioną albo nieuświadomioną przyczyną, czymś do czego prędzej czy później i tak by doszedł. Co przypomniało mu....

Zrozumiał to, gdy zauważył ten moment, po którym wszystko było już wiadome, lecz kogut ostatkiem sił próbował jeszcze coś zmienić. Zrozumiał, że są jedynie kolejną odmianą gry Juanity, w

której zawsze wybierał czerwień i przeszłość, gdzie jedynie ta niegłęboka bruzda na ścieżce utrzymywała go w tutaj-teraz-byciu, tworząc te dwa wzajemnie wykluczające i jednocześnie uzupełniające się światy, jego świat przeszłości i jej przyszłości. Opilki żelaza układające się wzdłuż linii sił pola albo kolorowe szkiełka w kalejdoskopie mód.

Po pierwszym uderzeniu słał się na nogach, lecz szybko odzyskał siły. Po co tu przyjechał? Po co pozwolił kogutowi na to, co robi? Dlaczego fascynowały go walki? Nigdy nie chciał o tym rozmawiać, tak jak nigdy nie chciał wdawać się w dyskusje na temat polowań z biurkowymi intelektualistami lub odpowiadać Maite na pytanie czy ją kocha.

Czuł duszny mrok i każdy skurcz serca popychającego gęstą, oporną krew mieszającą się z tak samo gęstym powietrzem, tworzącą mikroeksplozje, niewielkie wiry wypełnione ciepłymi oddechami kogutów – wszystkich kogutów, które kiedykolwiek znajdowały się na środku areny.

Czuł bezsens tego co robi, lecz jednocześnie upajającą rozkosz nie pozwalającą zatrzymać się w pół kroku. ■

# Spis treści

Miasto.....	4
Klocki domina.....	5
Królowa w koronie z iguany.....	16